

Archiwum Wschodnie 48
(Ziemia)

Wspomnienia Stanisławy Horak z domu Zięba, ur. w Arłamowskiej Woli, powiat Mościska /8 km na północ od Mościsk/, woj. Lwowskie, obecnie ZSRR. Urodzona 20 XII 1898 r.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Počas okupacji niemieckiej mieszkałam w domu rodzinnym. Był to jedyny murowany, duży dom w Arłamowskiej Woli. Mieszkałam razem z rodzicami, córką Danutą oraz dwoma braćmi: Janem, ur. w 1902 r., i Emilem ur. 1904 r. Oprócz domu, tzn. częściowo odbudowanego po dawniejszych zniszczeniach dworu, mieliśmy budynki gospodarcze zachowane w dobrym stanie, duży sad, trochę pola i pasiekę, dużą pasiekę, którą zajmował się ojciec. Tato nasz przed wojną przez wiele lat był sekretarzem w urzędzie gminy, a także, jako przejawiający zdolności ~~medy~~ i zamiłowania do medycyny, udzielał na porządku dziennym pomocy lekarskiej /felczerskiej/ ludności wiejskiej, która w stu procentach uważała się za Ukraińców-Rusinów.

Już po wybuchu wojny, jako jedyna rodzina polska w tej miejscowości odczuwaliśmy nieprzychylny stosunek ludności ukraińskiej do nas. W pierwszych latach okupacji sowieckiej / 1939-41/, ze względu na ciągłe udzielanie przez ojca pomocy medycznej - znachorskiej tamtejszej ludności większość traktowała nas dobrze, bez wrogości. Napastliwie zachowywali się okupanci - sowieckie NKWD i ich sprzymierzeńcy /niektórzy Ukraińcy/: byliśmy zmuszani do karmienia ich i upijania alkoholem jako formy obłaskawiania.

Bardziej dramatyczne chwile nastąpiły po przyjściu Niemców w 1941 r. Zaczęły powstawać różne bandy rabunkowe, złodziejskie, koniokradów, wśród ludności niepolskiej, często zagładając do bogatszych chłopów bez względu na narodowość, nas nigdy nie omijały. W listopadzie 1944 roku wyjechałam na kilka dni do rodziny w Mościskach. Los chciał, że właśnie w tych dniach jedna z najgroźniejszych band ukraińskich napadła nocą na nasz dom

Jedna z sąsiadek, Ukrainka, przychylnie do nas nastawiona, wiedziała gdzie jesteśmy i zaraz, rano, zawiadomiła nas o tej tragedii. Niezwłocznie wróciliśmy z córką. To był straszny obraz... Stłuczoną, skopaną butami i okrwawioną ~~matką~~ matką, na wpół zgięta leżała na łóżku w jednym z pokoi, zaś ojciec w podobnym stanie siedział na krześle z okrwawioną, opartą o stół głową. Ojciec miał ponad 70 lat. W tym samym pokoju leżały zmaltretowane zwłoki dwóch braci. Od wczesnego rana było tam już kilka osób udzielających pomocy sąsiedzkiej. I dzięki temu szybkiemu działaniu udało nam się przywrócić do życia matkę i ojca. Bracia już nie żyli. Mama, Katarzyna Ziemba, w czasie bicia i kopania straciła przytomność, a banderowcy uważając, że już nie żyje, zostawili ją leżącą na łóżku. Do ojca, po pobiciu, oddali trzy strzały w głowę. Okazało się, że kule ryjąc głębokie bruzdy w czaszce nie naruszyły systemu mózgowego, powodując omdlenie. Banda niszczyła wszystko /mściła się?/: wrywali skrzydła z okien, łupali drzwi, niszczyli szafy, krzesła, lustra... co popadło. Oczywiście rabowali, wzięli ze sobą wszystkie wartościowe rzeczy, biżuterię, odzież... Liczni dobrzy sąsiedzi bliscy i dalsi, chociaż Ukraińcy, to jednak udzielali nam wszelkiej pomocy również przy porządkowaniu i remontowaniu zniszczonego domu. Prosilili nas, byśmy nie odchodzili stąd, byśmy zostali na miejscu. Działo się to, kiedy Niemcy dawno już opuścili te ziemie. ■ Sowieckie NKWD rozpoczęło pozorowane śledztwo.

Ponieważ dom był duży, byliśmy zmuszeni oddać połowę pokoi sowieckiemu lekarzowi, jednocześnie będącym ^{ym} enkawudzistą. Wprowadził się do nas w kwietniu 1945 r. Od tej pory żyliśmy w ciągłym napięciu. Z jednej strony banderowcy straszili napadami, enkawudziści z drugiej, często przyjeżdżając do naszego "lokatora" żądali poczęstunku i alkoholu.

Wiosną 1947 r. przyszło dwóch banderowców do mnie żądając bym

wywołała lekarza z zajmowanej przez niego części domu /był tam wówczas sam/. Odpowiedziałam aby sami do niego poszli. Wówczas zaczęli stukać do drzwi jego mieszkania żądając by je otworzył. Po długim czasie lekarz, otwierając drzwi, uderzył butelką lub czymś ciężkim jednego z banderowców, drugi zaś strzelił serią z automatu zabijając go. Byłam zmuszona być przy tym obecną, a także udzielić pierwszej pomocy temu, który miał rozbitą głowę. Była już noc, więc nikt z sąsiadów nie przyszedł na pomoc, bali się. Dopiero rano zawiadomiono NKWD w Mościskach o zajściu. Teraz rozpoczęło się śledztwo. Będąc w dużym strachu / i na polecenie tych napastników/ nie przynawałam się, że byłam w domu, że coś widziałam. Jednak ~~nie~~ złapano jednego z bandytów, który wszystko szczegółowo zeznał. Zostałam więc aresztowana za ukrywanie faktów i współpracę z bandą. Był wrzesień 1947 gdy zawieźli mnie do więzienia w Sądowej Wiszni. Po kilkunastu dniach przewieziono mnie do Drohobycza do więzienia zwanego Drohobyckie Brygidki. Enkawudzistom udało się złapać jeszcze dwóch banderowców z tej samej grupy i po kilkumiesięcznym śledztwie, w czasie którego stosowano wobec mnie różne psychiczne tortury /bez fizycznych/, odbyła się rozprawa szybko zakończona wyrokami: banderowcy Morok i Duda otrzymali po 25 lat trzeci zaś, Tur 10 lat ciężkich prac na Syberii. Ja również otrzymałam 10 lat więzienia na Syberii. W kilka dni po wyroku przewieziono nas z Drohobycza do więzienia lwowskiego. Było tam o tyle łatwiej, ^{że} ponieważ nie było przesłuchań śledczych. Wyżywienie /w dalszym ciągu/ najpodlejsze: w miskach podawano jednodaniowe zupy /kasza mieszana z rybami, ziemniakami i jakimś łojem lub olejem, kapusta/, czarna kawa oraz czarny chleb - 20 dkg na dobę. W miesiąc później zakratowanymi samochodami zawieziono nas na stację. Otoczeni wojskiem - nie wolno było nam się rozglądać i rozmawiać - wsiadaliśmy do bydlęcych wagonów po 50-60 osób. Był koniec grudnia 1947 r. Był to cały transport więźniów, kobiet i mężczyzn, Ukraińców i Polaków. Mężczyźni siedzieli oddzielnie. Miałam wyjątko-

we szczęście, że mój rok urodzenia zamiast 1898, napisano 1893. Byłam starszą o 5 lat i to zaważało do końca, że byłam traktowana łagodniej. W wagonie siedziało nas 55 kobiet starszych i nieletnich dziewcząt. Służba NKWD donosiła nam nawet ciepłe zupy i napoje, wprawdzie obrzydliwe, podobne do więziennych, jednak i sam wagon był szczelniejszy, i koców część dostaliśmy na drogę. Opowiadano nam, że mężczyźni traktowani byli okrutnie - jak zwierzęta. Byli wśród nich - oprócz politycznych - bandyci, złodzieje, ale także zupełnie niewinni zarówno Polacy jak i Ukraińcy więzieni za to, że reprezentowali środowiska kulturalne lub za pochodzenie z rodzin szlacheckich czy arystokratycznych lub za majątek.

Jechaliśmy ok. 2 tygodni przez Kijów, Moskwę do obłasti Mordowskaja. Nie wiem, nie pamiętam nazw miast, mówiono, że jesteśmy w lasach uralskich i że obozy-łagry ciągną się za Riazan w całych tajgach syberyjskich. Pierwszy obóz był w odległości ok. 400 km od Moskwy. W jednym miejscu nie byliśmy dłużej niż jeden rok, przenoszono nas dalej, do oddalonego co kilkadziesiąt kilometrów następnego łagru. Pierwszy składał się z 12 baraków mieszczących po ok 80 - 100 kobiet. Baraki to najprostsze budowle prostokątne, drewniane, o czterech ścianach, bez ścianek wewnętrznych, w środku zaś piętrowe prycze gęsto ustawione obok siebie. Zimą temperatura przekraczała 40 stopni mrozu. Spałyśmy na deskach bez materacy, koce były wyjątkowymi przypadkami przy sześciokrotnym przenoszeniu się z jednego łagru do drugiego. Pieszko, z całym sprzętem własnym na plecach słyśmy różnymi drogami od najwcześniejszych godzin rannych do późnej nocy. Następne łagry były znacznie większe, ale warunki bardzo podobne.

Żołnierze, wartownicy, a nawet enkawudziści traktowali /przynajmniej mnie/ bardzo dobrze. Otrzymałam ciepłą odzież, waciaki i baszłaki. Pracowałam przy bani, czyli łaźni, w kuchniach jako pomoc, przy sprzątaniu itp. Zwykle pracowałyśmy w trójkę. Ze mną

były dwie kobiety: Estonka i Ukrainka. Trzymałyśmy się razem przez dwa obozy /2 lata/, później nas rozłączono. Kobiety były z różnych republik, najwięcej z Ukrainy. W jednym z łagrów była młoda kobieta, wcześniej wykładająca na leningradzkim uniwersytecie, którą aresztowano i wywieziono za to, że wyszła za mąż za amerykańskiego pracownika konsulatu tamtejszego. Wyrok otrzymała: 15 lat. Pracowała razem ze mną, w niektórych pracach wyręczałam ją, gdyż była bardzo delikatna również i mnie często wyręczała. Załamywała się, była w skrajnej rozpacz i bliska samobójstwa, podtrzymywałam ją psychicznie... byłyśmy bardzo do siebie przywiązane. W jednym z baraków mieszkała i pracowała w lesie przy ścinaniu drzew piękna młoda dziewczyna, bardzo słabo mówiąca po rosyjsku. Mówiono, że była Szwedką. Na Syberii znalazła się przez przypadek: jako żona pracownika ambasady szweckiej w Moskwie odwiedziła kiedyś tamtejszą rodzinę rosyjską natrafiając na moment, kiedy wszystkich jej członków aresztowano /wyprowadzając z domu/. Owa Szwedka stanęła w obronie przyjaciół, wówczas NKWD-dziści, nie licząc się z tym, kim ona jest, wzięli ją także. Nie było odwołania. Nie wiem na ile lat miała wyrok i czy wogóle był wyrok...

Prace kobiety wykonywały różne. Młode i zdrowe chodziły do lasu jako "lisopowały i lisoruby". Budowały również drewniane baraki, czasem pomagali im mężczyźni jako majstrowie. Więźniarki przygotowywały również glinę do wylepiania zewnętrznych ścian. Polegało to na tym, że sypano ukopaną glinę na ziemię obok nowego baraku, dosypywano plew owsianych i dolewano wody po czym bosymi nogami należało mieszać zaczyn z gliny. Po odpowiednim wymieszaniu brało się ten zaczyn do jakichkolwiek naczyń - wiader i rękołna narzucało się na ściany baraku od zewnątrz i od wewnątrz i równało jak tynk na ścianach. Plevy owsiane pochodziły z wysiewanego owsa, który stale w kuchni służył do gotowania kasz i owsianych zup.

Baraki wylepiane gliną służyły na szpitale, kancelarie itp.

Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy w "naszych" łagrach były spędzane tradycyjnie. Była duża solidarność międzynarodowa np. Ukrainki szanowały święta polskie, a Polki ukraińskiej itd. W niedzielę b. często pracowałyśmy, zaś dniem wypoczynku był poniedziałek. Otrzymywałyśmy od rodzin paczki żywnościowe, co bardzo pomagało nam w przetrwaniu. Dzięki zawartościom paczek robiłyśmy wspólne wigilie i śniadania wielkanocne. W moim baraku mieszkała ukraińska zakonnica ze Lwowa i dzięki niej była odprawiana w każdą niedzielę Msza Święta. Siostra zakonna znając liturgię zastępowała księdza w wielu innych przypadkach. Na msze schodziły się kobiety z różnych innych baraków. Uważam za wyjątkową sytuację to, że podczas odprawianej cichej Mszy Św. służba więzienna kilkakrotnie wchodząc w służbowych sprawach do baraku nigdy nam nie przeszkadzała ani nie stosowała żadnych sankcji. Nie mogłyśmy tylko głośno śpiewać.

W "naszym" łagrze było wiele kobiet analfabetek, stąd też miałam szczęście, że wiele z nich zwracało się do mnie z prośbą o pisanie listów. W ten sposób zostałam łagrową pisarką listów. W zamian za to otrzymywałam tak ważną tam żywność pochodzącą z paczek, jak kaszki, sucharki, miód i inne.

Po śmierci Stalina umożliwiono nam składanie odwołań w sprawie niesłusznego skazania. Skorzystałam z tej możliwości i wystąpiłam do Centralnych władz NKWD. Podobnie zrobiło wiele kobiet. Po kilku miesiącach przyjechała specjalna komisja - starsi rangą oficerowie, którzy rozpoczęli przeprowadzanie rozmów z poszczególnymi więźniarkami. Dzięki temu wiele z nas zostało przewiezionych do więzień pierwotnych. Po 7 latach łagrów mnie przewieziono na powrót do Drohobycza, w którego więzieniu byłam 6 miesięcy w od nowa prowadzonym śledztwie. W wielokrotnych rozmowach stale wypierałam się zarzucanych mi przestępstw. Ostatecznie uniewinniona i zwolniona.